

SPIS TREŚCI:

1. Pamięci ojca Hieronima	str. 3
2. Trekking pod Makalu <i>Marek Arcimowicz</i>	str. 4
3. Chodzić czy nie chodzić?	str. 16
5. Górami pisane <i>Kazimierz Przerwa-Tetmajer</i>	str. 23



WOŁANIE

Nr. 22 (26)

Kraków, maj 2000

Od maja 1987 roku ukazało się 25 zeszytów WOŁANIA

Opracowanie: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Oddział w Krakowie, Członek wspierający TOPR. **Adres dla Korespondencji:** Andrzej Słota, 30 - 150 Kraków, Armii Krajowej 83/131. **Telefony:** 638-01-54, 0602 62-53-03, **E mail:** slota @ tf.com.pl.

Lokal: Dom Kultury „Podgórze” ul. Krasickiego 18/20. Dyżury Towarzystwa odbywają się co dwa tygodnie we wtorki, w godzinach 18 -19³⁰.

Redaktor: Andrzej Słota, zespół redakcyjny: Barbara Morawska-Nowak, Maciej Mischke.

Wpłaty na rzecz Towarzystwa mogą być dokonywane na rachunek:

PTT, Zarząd Główny, PKO I/O Kraków nr. 10202892-162809-270-1-111

PTT, Oddział Kraków, PKO I/O Kraków nr. 10202892-162942-270-1-111

Emblemat na okładce rysowała: Zofia Nowak

Skład komputerowy: Andrzej Słota

PL ISSN 0660-8679

Do druku oddano 25 kwietnia 2000

WOŁANIE

Biuletyn szkoleniowy
dla członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego
i członków wspierających TOPR

Pamięci Ojca Hieronima

Chwila skupienia i modlitwa w dobrze znanym drewnianym kościółku. Przed wycieczką - z prośbą o dobrą pogodę, o krzepę w drodze na szczyty, by można było zaznać rozkoszy oglądania cudów natury, jakimi Stwórca nas obdarzył. By góry, które ścielą się pod stopami, pozwalały zapomnieć o troskach i kłopotach dnia codziennego, których przecież nie brakuje.

Pod koniec każdych wakacji - dziękowano tu za szczęśliwy powrót, z prośbą, by w następnym roku można było iść w Tatry raz jeszcze. Choć góry trwają niezmiennie, to w ciągu lat, w czasie chodzenia utartymi ścieżkami wytrawne oko zauważy, jak powoli mija czas.

Nie sposób wyobrazić sobie Wiktorówek bez ojca Hieronima. Mieszkał razem z gazdującym tu ojcem Leonardem i Poldkiem. Przez lata pełnił swą kapłańską posługę, odprawiał msze w okolicznych schroniskach. Krążył po kuchni, doradził, jaką wybrać kartkę do wysłania pozdrowień, zawsze zagadał i z uśmiechem zapraszał na wysmienitą herbatę. Gościł wszystkich, którzy odwiedzali to szczególne miejsce, a którym sanktuarium Królowej Tatr było szczególnie bliskie.

Tatry - najpiękniejsze Góry Świata. Nasze góry. Moje góry. Ilekroć w nich bywam - zawsze znajduję czas, by pokłonić się Jaworzyńskiej Pani z Rusinowej Polany. Odszedł ojciec Hieronim. Zostanie w naszych wspomnieniach jako Dobry Duch Kaplicy na Wiktorówkach.

Andrzej Słota i przyjaciele z Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie



Treking pod Makalu

Na początku był pomysł.

Po wielokrotnym prowadzeniu grup na teahouse treking'ach, szczerze powiedziawszy miałem dość. Zresztą nie tylko ja, bo i moi podopieczni „pomarudzali” od czasu do czasu, że chcieliby w dziki rejon, że jechali do Nepalu i myśleli że tam dziko, a tu się okazuje - ludzi (turystów) więcej niż na asfalcie do Moka... W końcu doszedłem do wniosku, że trzeba zorganizować wypad w rejon niecywilizowany - bez infrastruktury, restauracyjek, hotelików. Miało być dziko. I było!

W grę wchodziło kilka rejonów: Dhaulagiri, Makalu, Mustang, Dolpo, Kanchenjunga, po selekcji, z różnych powodów - długość trasy, ceny zezwoleń - padło na Makalu Base Camp.

25 października '98, niedziela

Przylatujemy do Kathmandu. Już sam samolot Royal Nepal Airlines to atrakcja sama w sobie. Urocze stewardessy w sari, lub klasycznych, tybetańskich „fartuszkach” roznoszą indyjskie thali (posiłki z ryżu z różnymi sosami), atmosfera powrotu, przygody, egzotyki z różnymi natężeniami. A właśnie, powrotu? Po raz pierwszy, zadałem sobie pytanie powtarzane później wielokrotnie: gdzie ja w zasadzie wracam: do Polski, gdzie tak naprawdę robię wszystko, by znów wyjechać, większość wysiłków skierowuję na ten cel, ale też cieszę się z obecności przyjaciół i rodziny; dzielę się z moimi przeżyciami, czy do Azji, gdzie czuję się wolny, szczęśliwy, gdzie ludzie są otwarci, góry wielkie i piękne, a jedzenie pysznie ostre... Do dziś nie odpowiedziałem sobie na to pytanie. Ale czy nie można wracać i tu, i tam?

Wspaniały widok z samolotu rozświetlonego wieczorem miasta, duże fotografie gór, w tym Everestu na ścianach terminala, tłumy riksarzy i taksówkarzy pod lotniskiem, kobiety w sari - ugruntowują we mnie poczucie, że jestem dokładnie tam gdzie powinienem.

Szybka przewózka nas i gratów do hotelu. Pierwsza kolacja, tradycyjnie już w „Typical Nepali Restaurant”, gdzie wódeczka leje się za darmo (!!!) i z lekkim szumem w głowie ląduję w łóżku.

26 października, poniedziałek; (27 wtorek); (28 środa)

Zapieprz od rana. Okazało się, że przenieśli Imigration Office na drugi koniec miasta, przez co dużo zachodu kosztują wszystkie papierkowe roboty - a było tak poręcznie na Thamel'u - w dzielnicy turystycznej! Na szczęście Bal Kumar, mój przyjaciel i tubylec pomaga załatwić wszystko bez specjalnych problemów. Poznaliśmy się dwa lata wcześniej na trasie w górach. Obaj prowadziliśmy małe, dwuosobowe grupki w rejonie Annapurny - on Holendrów, ja Polaków (nota bene, jeden z nich Darek pojechał i tym razem). Z Basnetem, jak od nazwiska wołaliśmy na Bal Kumara łączyła mnie zażyła znajomość i nić zrozumienia - pracowaliśmy w podobny sposób, podobnie powoli i mozolnie do tego dochodziliśmy, mimo że on jest Nepalczykiem z Solo Khumbu, a ja Polakiem i wychowałem się w Sudetach, z dala od Himalajów.

Poza papierkami było jak zwykle mnóstwo innych zajęć - zestawienie wyposażenia i prowiantu dla nas i Nepalczyków, paliwa do kuchenek, dobór najodpowiedniejszych opcji, dylematy, zakupy i nie kończące się wydatki... Tak wyglądał ten i dwa kolejne dni. W międzyczasie trzeba było pojechać tu i tam z klientami, oprowadzić po Bhaktapur, odbyć pielgrzymkę do świętej stupy Bodnath i Swayambunath, czy po prostu pomóc w zakupach. Trzeba przecież pomóc znaleźć najlepszy sklep, wysłać widokówki, kupić to i owo: baterie do czołówki, czapkę, słodycze i nadprogramowe żarcie, rękawiczki, plecaczek. A tu okazja, a tam trudny wybór - na takim wyjeździe nie jest się tylko przewodnikiem, trzeba wykonywać wiele, czasem sprzecznych zadań.

Poza tym czas „przedtrekowy” to wspaniałe oczekiwanie nadciągającej przygody, wypełniony rozmowami w knajpkach przy piwie, rakszi (nepalska wódka) i haszyszu, który tu można kupić za grosze i wszędzie, wyżerkami, bo żarcie azjatyckie dla mnie nie ma sobie równych.

Kiedy już załatwi się wszystkie formalności, włącznie z transportem na początek trekku i na powrót do Kathmandu, można sobie spokojnie oddać niepotrzebne przez najbliższy czas rzeczy do hotelowego depozytu, spakować plecak, załadować górę (prawdziwą górę żarcia i sprzętu do wynajętego autobusu albo

Land Rovera i w drogę. To najpiękniejszy moment - wszystko przed nami!

W końcu w środę popołudniu wladowaliśmy do wszystko i własne blade „zwłoki” do autobusu i ruszyliśmy.

Muszę przyznać, że jak zwykle - w tym momencie hamulce puściły i głęboko zasnąłem. Pamiętam tylko, że droga była zupełnie inna niż ta znana mi z opisu mego przyjaciela Jacka „Skrzypka” Skrzypczyńskiego. Miała być drogą koszmarem, zbiorem dziur połączonych dla niepoznaki szutrem, błotem, pyłem i kurzem. To co zastałem jakieś piętnaście lat po jego wizycie to solidna, gładziutka, asfaltowa prawie-autostrada. Ciągłe mijaliśmy sklepiki, hoteliki i restauracje, a nawet minilaby fotograficzne. Nepal się zmienił i zmienia w coraz szybszym, zgubnym tempie.

29 października, czwartek

Wcześniej rano dojechaliśmy do Itahari, tam czekało nas przełancowanie się do innego, „wysokogórskiego”, albo inaczej „terenowego” autobusu. Tak, tak - w Nepalu istnieje konieczność takiego podziału, część dróg jest w takim stanie, że trzeba używać specjalnych, wysoko zawieszonych autobusów. Po godzinie wtaszczyliśmy wszystko do szalonego pojazdu szalonego kierowcy i sami asekurancko usadowiliśmy się na dachu. Dla części moich podopiecznych było to początkowo trudne do zaakceptowania, ale za pomocą Darka udało mi się namówić nasze panie do próby, argumentując, że mimo wszystko to właśnie jest najbezpieczniejsze miejsce (zawsze lepiej spaść tylko z autobusu niż z autobusem w przepaść). Po chwili nie miałem jednak wątpliwości, że widoki górskie o 360 stopniowej panoramie nie powalają tylko niewidomych. Słysząc było tylko szum wiatru, ryk silnika przerywany piskiem hamulców i dzikie wrzaski zachwyty w stylu „o ja pier...” z ust dwudziestokilkuletnich delikatnych kobitek...

Po trzech godzinach dojechaliśmy do Hile, punktu startowego. Poza naszą czteroosobową grupą białasów z Kathmandu przyjechał Piema Sherpa - nasz kucharz, jego dwóch asystentów - kuchciko-tragarzy, brat Bal Kumara - Shiva Basnet, którego miałem za zadanie przyuczyć do pracy z grupą i prowadzenia

karawany i Sherpa zwany przez nas Playboyem, z racji nadmiernej dbałości o własny wygląd. Jak zwykle naszą autochtoniczną część ekipy nazywaliśmy „Dzikimi” - nie przez brak szacunku, tylko z żartu i pewnej tradycji. Nawiasem mówiąc czasem sam czułem się bardziej dziki od miejscowej ludności...

W Hile musieliśmy jeszcze dobrać sobie ok. dziesięciu tragarzy, rozparcelować pakunki i w drogę...

Tragarze jak zwykle od razu zapragnęli wysondować naszą naiwność i kombinowali na ile się dało „jak koń pod górę” - tak określiliby to mój ojciec i miałby rację. Ciągłe coś zmieniali, poprawiali i przekładali wpadając na kolejne coraz to „wspanialsze” pomysły - np. jeden próbował nieść cztery 15/20 kilogramowe plecaki nie na czole razem związane, ale na jednym systemie nośnym wedge alpinusowskiego woodpeckera! Muszę przyznać szczerze, że w przeciągu tych kilkunastu (mam nadzieję że tylko tyłu) minut, system ten się sprawdził - che, che, che...

Pierwszy dzień maszerowaliśmy na początku wzdłuż budowanej właśnie drogi (a fuji!). Do końca prześladowało mnie wrażenie iż obserwujemy ostatnie momenty dzikości w tym rejonie. Później weszliśmy w rzadki las i dopadło nas nepalskie równo - w górę, w dół, w górę, w dół, w górę, w dół... aż do rzeki Arun, której brzegiem wiodła dalsza trasa. Pierwszy nocleg na trasie wypadł nad jej dopływem Mangmaya i w sąsiedztwie uroczej wsi o tej samej nazwie.

Długo czekaliśmy na naszych tragarzy, którzy przyzwyczajeni do ekip „grubodupców” jak nazywaliśmy bogatych zachodni trekerów spodziewali się, że pierwszego dnia „padniemy” po kilku kilometrach. My postanowiliśmy nie szaleć, ale od początku trzymać równe tempo i iść do godz. 17. Tego się nie spodziewali, zrobili sobie zbyt długie odpoczynki i myśląc że spokojnie dojdą nas zasapanych za rogiem zwyczajnie sobie bimbali. Skutek był taki, że kolację mogliśmy sobie zrobić ok. 21 i część sprzętu donosiliśmy na ostatnim odcinku sami, bo tragarze wypompowali się próbując nadgonić stracony czas. Ale najgorsze czekało nas za dwa dni.

Póki co rozgwieżdżone himalajskie niebo, ciepła herbata i pyszna kolacja, a zaraz potem ciepłutkie śpiwory złagodziły najbardziej rozdrażnionych.

30 października piątek

Gudmoonning ser (miało być „Good Morning Sir...”), łosin łote, tiiii, kofiii...

Tak było co rano. O wschodzie słońca „Dziadek” (uroczy starszy pomocnik kucharza i tragarz) przynosił nam ciepłą wodę do mycia i w żaden sposób nie dało mu się wytłumaczyć, że możemy myć się w zimnej. Zaraz potem przynoszono ciepłą herbatę i kawę.

Po reanimacji zbieraliśmy obóz, jedliśmy śniadanie, tragarze zabierali pakunki, a my na lekko z aparatami fotograficznymi i „daypackp’ami” na plecach ruszaliśmy na szlak. Zwykle chodziłem na końcu, mając oko na ostatnich tworzyłem tzw. „zamek” - w razie czego wiedziałem o wszystkim. W trudniejszym terenie poruszaliśmy się zwartą grupą.

Okolo południa stawaliśmy na lunch, by po godzinie, dwóch ruszyć w dalszą drogę do 16-17. Po dojściu na miejsce obozu ustawialiśmy namioty, robiliśmy przepierki i tak niemal co dzień.

Drugi dzień zakończył się podobnie do pierwszego obozowiskiem na brzegiem dopływu Arun Khola (khola w Nepalu znaczy rzeka), przy wsi o swojskiej nazwie Damkota.

31 października, sobota

Droga do Tumlingtar wiodła po „płaskim” wzdłuż rzeki. Lunch nad jej brzegiem na kamienistej plaży w palącym słońcu (w samo południe) byłby nie do zniesienia, gdyby nie kąpiel w chłodnej, górskiej rzece. Okolo 13 doszliśmy do Tumlingtar, gdzie czekał na nas Shiva i usilnie naciskał na rozstawienie obozu. Starał się manipulować nami w tak dziecinny sposób, że postanowiliśmy dać tragarzom nauczkę i „wydarliśmy” w górę, bo za Tumlingtar wreszcie zaczęło się podejście. Tuż przed zmierzchem znaleźliśmy polankę nadającą się na obóz i czekaliśmy na tubylczą część ekipy. Po godzinie doszedł do nas przerażony Shiva i powiedział, że tragarze są dopiero za Tumlingtar. Wtedy zrozumiałem o co tak naprawdę chodziło. Tragarzom zależało na skróceniu dnia, bo otrzymywali zapłatę za dzień pracy, a to stwarzało okazję na

wydłużenie czasu trekkingu, a co za tym idzie zwiększenia zarobków. Lunch na słońcu miał z nas wypić siły, wszyscy liczyli, że biali, jak to biali - wymiękną przed pierwszym, większym podejściem. A tu niespodziewanie - „złapał Kozak Tatarzyna(..)”. Powstał konflikt, który z racji zajmowanej pozycji musiałem wziąć na swoje barki i jakoś rozwiązać. Po kilkunastominutowej rozmowie ustaliliśmy wszystkie zasady po raz kolejny i w zgodzie zjedliśmy wspólną kolację.

1 listopada, niedziela

Niesamowita sprawa. Miasto odcięte od dróg, bez ani jednego samochodu, motocykla...pod koniec naszego wieku! Khandbari, myślałem, że coś takiego już nie istnieje. Miasteczko górskie o klasycznej strukturze „wzdłuż szlaku”, mnóstwo sklepików, bank, restauracje i hotele, tłumy ludzi. I trudno uwierzyć, że wszystko co nie zostało wykonane na miejscu przeniosły karawany tragarzy i zwierząt jucznych. Jak przez tysiąclecia wcześniej, tak teraz - tyle że obecnie poza tradycyjnymi towarami przynoszą telewizory i magnetowidy, płyty CD, itd...

Spokojnie i bez problemów, 2 U\$D za minutę, zadzwoniłem z „końca świata” do odległej o 6331 km żony (dane z odbiornika GPS) i jakby nigdy nic pogadaliśmy.

2 listopada, poniedziałek

Tego dnia po raz pierwszy zobaczyliśmy cel naszej drogi. Tuż przed Bhote Bosh ze wzgórza rozciągnęła się fantastyczna panorama gór z odległym o prawie 70 km Everestem. Tego same dnia zaczęła się trasa przez dżunglę.

Trasa wiodła przez Makalu Barun National Park - najmłodszy park narodowy w Nepalu, założony w 1992, oczywiście dekretem królewskim.

Było naprawdę dziko. Co ciekawe mała liczba turystów powodowała niemal całkowity brak niechęci tubylców do fotografowania, czasami prosili wręcz, aby zrobić im zdjęcie. Miało to też swoje słabe strony - minimalna lub nieistniejąca „infrastruktura turystyczna” powodowały konieczność trekowania z karawaną, ale to też ma swój niepowtarzalny urok.

Przez cały trzytygodniowy trekking spotkaliśmy trzy grupy, w tym jedną dużą francuską ekipę, która szła do bazy evere-

stowskiej przez East Col i Abhu Labtsa, wchodząc po drodze na Island Peak.

3 listopada, wtorek

Wreszcie wszystko się poukładało. Odniosłem wrażenie, że karawana wpadła w swój rytm. Trasa wiodła tego dnia po grzbietach górskich, którą nazwałbym himalajską poloniną - wysokość niewielka bo ok. 2000 metrów. Nocleg zaplanowaliśmy w pięknie położonej wiosce Num. Tam właśnie miało miejsce bardzo piękne zdarzenie. Otóż, po przyjeździe do wspomnianego miejsca, spotkałem lekko wstawionego autochtona. Jegomość ten jak nepalski zwyczaj nakazuje, przyjął mnie rozmownie zadając serię pytań. Kiedy dowiedział się skąd jestem, roześmiał się natychmiast szeroko i zaczął wykrzykiwać:

– „Yes Poland, I've been with Polish Makalu Expedition in 1976, Wojtek Kurtyka, korbamacz, korbamacz, Wojtek Kurtyka”.

I w tym momencie wymachiwał ręką łapiąc się za głowę, udawał zafrapowanego kierownika wyprawy. Nawiasem mówiąc ciągle nie wiem dlaczego akurat te słówka wchodzą obcokrajowcom najlepiej do głowy...

Autochton przedstawił się w końcu jako Laure Sherpa i prosił o przekazanie „many, many Namaste for Wojtek” (wiele, wiele pozdrowień dla Wojtka) najwyraźniej wspominając tę wyprawę i jej szefa z wielkim sentymentem i sympatią.

4 listopada, środa

Ostry dzień. Z namiotów rozstawionych na skarpie w Num widzieliśmy miejsce naszego następnego obozu. Już w nocy obserwowaliśmy światła w Seduar i Tashi Gaon. Zresztą nie tylko, bo widoczność (układ terenu) była tak dobra, że mogliśmy zobaczyć trasę na następne trzy dni. Num położone na wąskim grzbiecie górskim było samo w sobie świetnym punktem widokowym, a ponieważ dalsza droga wiodła po sąsiednich górach i wysokiej grani wszystko było widoczne jak na dłoni. Ale to co ładnie wyglądało...no właśnie, tego dnia trzeba było zejść i podejść tysiąc metrów bardzo stromą ścieżką początkowo przez pola ryżowe, później przez dżunglę, przekraczając w międzyczasie rzekę Arun po moście wiszącym. Głównym problemem nie były wysokości, ale to, że było strasz-

nie parno i gorąco. Pamiętam jak dziś atmosferę „Parku jurajskiego”, wilgotność, gorąco i eksplozję zieleni. To zdecydowanie mój żywioł!

Niesamowity był tego dnia lunch, wciśnięci na półkach w dżungli - między poupychanymi „na maxa” roślinami i stadami bajecznie kolorowych motyli, jaszczurkami, kwiatami...

5 listopada, czwartek

Sedua. Z namiotów jak poprzednią noc oglądaliśmy światła wsi, tyle że tym razem wstecz - na sąsiedniej górze skrzył się Num.

Osiemset metrów spokojnie w górę przez las i wioski.

Wczesnym popołudniem doszliśmy do miejsca noclegowego, ostatniej wioski na trasie - Tashi Gaon, po niej już tylko góry, odludzie i z rzadka domki pasterskie. We wsi znajduje się też check point, z książką wpisów i tu spotkała mnie niespodzianka, bo okazało się, że jesteśmy pierwszą wpisaną do książki polską grupą trekkingową - przed nami były tylko wyprawy wspinaczkowe!

W Tashi Gaon wymieniliśmy część tragarzy - ze zwykłych na „wysokościowców”, dołączyły do nas także dwie młode Sherpanki.

6 listopada, piątek

To był chyba najtrudniejszy dzień na trekku. Długie i męczące podejście na halę o nazwie Kauma, czyli skok z 2200 na 3600. Po drodze mieliśmy tylko kanapki, gdyż ze względu na długą i uciążliwą trasę zdecydowaliśmy się nie rozstawiać sprzętu by zrobić „normalny” lunch. Do miejsca biwakowego dotarliśmy o tradycyjnej porze, jednak zdecydowanie bardziej zmęczeni. Wysokość lekko „zatykała”. Na miejscu zastaliśmy tylko „Dziadka” i Piema (kucharz). Wyglądali na bardzo zmartwionych - okazało się, że z powodu długiego braku opadów wyschły źródła i zostaliśmy bez wody. Oznaczało to nie tylko niemożność napicia się, ale też kłopoty z jedzeniem dla całej karawany - nijak nie można było ugotować ryżu. Sam chcąc walczyć desperacko „rzuciłem się” w dół zabierając dwóch najlepszych „dzikich”, bo na dnie doliny rzewnie szumiała rzeka. Dotarcie do niej jednak okazało się zupełnie niemożliwe, gęsty niczym wielka kosówka rododendronowy las porastał całe zbocze, zaczęło się robić ciemno i po godzinie zarządziłem odwrót.

Noc była paskudna. Wskutek odwodnienia miałem ból i lekkie zawroty głowy - lekkie objawy wysokościówki, choć wcześniej wielokrotnie bywałem na dużo większych wysokościach bez najmniejszych problemów. Pierwszy raz wystraszyłem się AMS'a.

7 listopada, sobota

Wstaliśmy grubo przed świtem i w drogę. Według mapy byliśmy 2-3 godziny marszu od górskiego jeziora. Widok, jaki rozpościerał się przed nami do zdumienia przypominał Tatry, ta sama skała, podobne formacje i roślinność, tylko wysokość bezwzględna o 1-2 tys. m. większa. Po raz kolejny wspomniałem Skrzypka, z którym tego lata „kosiliśmy” w rejonie Moka...

Tutaj, daleko na horyzoncie majaczyły olbrzymi masyw Kangchenjungi. Nam jednak nie w głowie było podziwianie widoków, odwodnienie robiło swoje. Po trzech i pół godzinie zobaczyliśmy sylwetkę biegnącego człowieka. Postać przybliżała się, aż w końcu rozpoznałem w nim jednego z naszych tragarzy. Przybiegł do nas z czajnikiem pełnego ciepłego jeszcze soku owocowego z wodą wiedząc jaka jest sytuacja. Do końca życia nie zapomnę uczucia, które towarzyszyło picciu tego płynu, ale na zawsze jeszcze więcej znaczyć będzie gest tego człowieka.

Do malowniczego jeziora dotarliśmy po kilkudziesięciu minutach, prawie od razu rozbiliśmy obóz i zrobiliśmy lunch. Krótko po tym zarządziłem wycieczkę aklimatyzacyjną na pobliski czterotysięcznik. Humory poprawiły widoki ze szczytu i wracające siły. Przestałem martwić się o moich podopiecznych - byli w świetnej formie.

8 listopada, niedziela

Następny dzień nie obfitował w zaskakujące widoki, pogoda się spaprała i pojawiła mgła. Przekroczyliśmy dwie przełęcz czterotysięczne, w tym Shipton Pass, dalej prze tatropodobne góry dotarliśmy na wysokość 3000 m n.p.m. i dalej w górę rzeki do pastwisk Yangre Kharka.

9 listopada, poniedziałek

Pogoda jeszcze gorsza, siąpił lekki deszczyk, ale widoki wokół miały coś z atmosfery „Władcy Pierścieni” Tolkien’a.

Biwak w Shershoon. Wieczorem przewiało chmury i to co wyłoniło się zza nich wykraczało poza moje możliwości literackie i fotograficzne. Nie powiem tego co ciśnie mi się na usta, a za co moja mama ostro by mnie opieprzyła.!!!

Po prostu nas zatkało.

10 listopada, wtorek

Przez całą noc, mimo zimna z przyjemnością wychodziliśmy z namiotów „na siku”. Białe ściany wokół nas powalały. Na niebie nie pozostała ani jedna chmurka.

Jak w poprzednie, tak i tej nocy nasi tragarze ostro i długo imprezowali. Wietrzyłem pewne kłopoty. Rano stwierdzili, że nie idziemy do Base Campu, bo kończy się kerosen i nie ma czym gotować, więc trzeba wracać. Kaśliwie odpowiedziałem, że mogli nie imprezować przy lampach przez ostatnie noce to nie zabrakło by paliwa, a jeśli brakuje rzeczywiście to trzeba kogoś wysłać ze zbiornikiem do Yangre Kharka. Dyskusje natychmiast się urwały. Rano pognaliśmy dalej do celu naszego trekkingu, bazy piątej góry świata.

Nie ma sensu opisywać otaczającego nas wtedy piękna, fotografie są nędzną namiastką, a każdy kto był w górach wie, że jest to nie do opowiedzenia.

W Base Campie trudno było robić coś poza zdjęciami i gapieniem się wokół. Słońce grzało na tyle mocno, że trochę się popalałem, a zaraz po lunchu poszliśmy na wypadzik do campu górnego, nad jeziorko lodowcowe i na morenę, z której był niezły widok na Lhotse, Everest i Baruntse. Makalu wydawało się być na wyciągnięcie ręki. Przez cały pobyt w bazie spotkaliśmy tylko parę wracających angielskich trekkerów z 12 (dwunastoma!) tragarzami. Nie zastaliśmy ani jednej wyprawy wspinaczkowej, nikogusieńko.

11 listopada, środa

Listopadowa noc na wysokości 5200 w nienajgrubszych śpiworach przypominała mi chwile wspinaczki zimowej. W nocy było - 25 0 , do tego wysokość. Od rana wystawiliśmy zmarznięte d...

na słońce. Po całodziennym byczeniu w Base Campie krótko po lunchu pognaliśmy w dół. Pogoda nadal była świetna, choć pojawiły się chmury. Dymiący wierzchołek Makalu zwiastował rychłe pogorszenie pogody. Teraz cieszyliśmy się z mgieł na wejściu - mimo iż szliśmy tą samą trasą - widoki za każdym zakrętem zaskakiwały i były czymś absolutnie nowym.

Biwak spędziliśmy znów w Yangra Kharka.

12 listopada, czwartek

Wszyscy pognali w dół jak poparzeni. Tylko Baśka szła na końcu podziwiając widoki i sycąc się tak jak ja bliskością gór. Kiedy dotarliśmy do podnóża tatropodobnego łańcucha gór (Mumbuk), okazało się, że napadało w nich sporo śniegu. Drugą komplikacją było zajęcie umówionego miejsca biwakowego przez grupę amerykańskich trekkerów. Shiva nie czekając na komplet, pognął z tragarzami do Shipton hut, schronu - domku pasterskiego tuż przed przełęczą. Szczerze powiedziawszy byłem na niego wściekły. Mieli wszystko - apteczkę, spiwory, namioty - jeśli stało by się coś niedobrego komukolwiek z uczestników bardzo skomplikowałby sytuację. Musiałem zrobić małą awanturę i niestety poinformować go, że bez pozwolenia „szefa” nie powinien podejmować takich decyzji. Nocleg na obszernej półce skalnej z widokiem na jeziorko, kocioł lodowcowy i himalajskie “Tatry” był jednym z najpiękniejszych momentów na trekku.

13 listopada, piątek

Dzień wcale nie był pechowy, jak można było się tego spodziewać. Wracaliśmy w zastraszająco szybkim tempie. Wieczorem byliśmy w Tashi Gaon i zapiliśmy się pysznym, nepalskim rumem i chang’iem, miejscowym piwem, domowej roboty.

Tutaj też Piema, nasz kucharz powiedział mi „Marek sir (robił tak zawsze, mimo upomnień by zwracał się po imieniu) ty tylko na wierzchu jesteś biały - to tylko twoja skóra, w środku jesteś Nepalczykiem, jesteś jak my...”, to był największy komplement, jaki usłyszałem. Już później w Kathmandu dowiedziałem się, że klienci przypięli mi ksywkę „Biały dziki”.

Tego samego dnia popadł razem z Playboyem w poważne kłopoty. Ojciec Sherpanek zrobił im awanturę za podryw córek.

Obaj wrócili do nas dzień później mocno wstawieni. Wypili chyba wystarczająco dużo z niedoszłym teściem by darował im występki. Co kraj, to obyczaj...

14 listopada, sobota; 15 niedziela; 16 poniedziałek; 17 wtorek

Ten i kolejne dni pędziły jak my i nie obejrzeliśmy się a już byliśmy w ostatnim punkcie trasy - Tumlingtar. Załapaliśmy się na zimowe opady deszczu, które w subtropiku powodowały gnicie bawełny i pleśń na skórzanych butach.

W ostatnią noc ekipa zorganizowała wielką imprezę z tańcami i śpiewem, no i oczywiście ze wspaniałą wyżerką.

18 listopada, środa

Na lotnisku Tumlingtar przyleciał nasz mały samolocik Gorkha Airlines. Lotnisko (?) - co ja napisałem, przepraszam pastwisko... Tak, jest nim po prostu pas trawy przechodzący przez środek wsi. Przez cały dzień życie toczy się normalnie, tzn. pasą się tam konie i kozy, pętają setki kur, mieszkańcy przemaszerowują z jednego końca wsi na drugi przecinając pas startowy. Kilka razy dziennie rozlega się syrena alarmowa. Ludzie schodzą z pasa, zwierzęta czmychają na bok, w tym do budynku „lotniska” (cały dzień pełno tam kur!) i w końcu pojawia się warkot, a kilka minut później mały samolocik turbośmigłowy.

Widoki na cały masyw Makalu, Everestu, Lhotse, Cho Oyu, Nuptse były niesamowite. Góry ukazały cały swój królewski majestat.

Powrót do Kathmandu był bardziej niż trudny. Nie mogliśmy zrozumieć po co tam tyle ludzi, tyle smrodu spalin, tyle pośpiechu. Jedno było pewne - wracać (!) i to jak najszybciej - w góry.

Marek Arcimowicz

Od Redakcji: Tekst ten w roku 1999 zamieściły się w „Góry”. Mamy nadzieję, że dzięki niemu czytelnik zapozna się ze specyficznym i niepowtarzalnym klimatem jakim jest wyjazd w tak egzotyczne góry jak Himalaje. Wyjazd na trekking to nie to samo co wyjazd w nasze, czy też inne, bardziej europejskie krainy górskie. Wyprawa, na którą wielu z nas po prostu nie stać.

Chodzić, czy nie chodzić - oto jest pytanie

Poniżej przytaczam dwa artykuły, które w roku ubiegłym okazały się w **GiA**, redagowanym przez Alka Lwowa. Wprawdzie głównym tematem owych publikacji jest alpinizm, ale w kwestiach poruszanych na łamach czasopisma pojawia się problem legalnego chodzenia po nieznakowanych, tatrzańskich ścieżkach wogóle - w tym dla osób posiadających uprawnienia. Owe uprawnienia - do tej pory utożsamiane z posiadaniem Karty Taternika - też nie do końca zgodne są z oczekiwaniami tych co w Tatrach bywają.



Z analizy owych zachowań wyłania się problem turysty wysokogórskiego, którego tylko krok dzieli od taternictwa. W chwili obecnej - turysta wysokogórski nie posiadając statusu prawnego, formalnie w Polsce nie istnieje.

Z tego powodu ten typ obcowania z górami (w przypadku TPN) nie ma racji bytu i siłą rzeczy włożony jest do wspólnego worka turystyki górskiej, razem ze „spacerowiczami” na drodze do Moka i innymi pseudoturystami, którzy w największym stopniu szkodzą naszym małym Tatom i są solą w oku ochrońiarzy.

Dzięki tej właśnie „stonce”, lub „gawiedzi turystycznej” TPN trwa na stanowisku niewpuszczania na nieznakowane ścieżki sporej części miłośników Tatr, którzy sami nie będąc stricte taternikami w końcu zniecierpliwieni idą „na lewo”, choć swym zachowaniem nie zagrażają tatrzańskiej przyrodzie.

Wielokrotnie korzystając z wykopczykowanych, taternickich ścieżek zauważyłem, że nie spotyka się tam owych olbrzymich gór śmieci, które są stałym elementem na znakowanych, ogólnie

nie dostępnych szlaków turystycznych. Świadczy to o dojrzałości i trosce o ochronę przyrody.

Być może listy owe są przejawem „buntu młodych”, ale moim zdaniem poruszają ważną kwestię turystyki wysokogórskiej, która nie jest do końca alpinizmem, mimo iż ociera się o niego.

Dlatego hamletowski dylemat „chodzić, czy nie chodzić?” - wielu dziś, w XXI wieku sobie zadaje. W krajach Unii Europejskiej, do której ponoć nam coraz bliżej już problemy tej natury zostały rozwiązane.

Ostatnio wiele się dzieje wokół dyrektora Tatrzańskiego Parku Narodowego. Podhalańskie lobby chciałoby na Tatrach upiec swoją pieczeń. Nie udało się z Olimpiadą 2004, może uda się z terenami narciarskim. Być może to jest utopia, bowiem wiadomo z zaprzyjanych kręgów narciarskich, że dziś mało kto jeździ na narty do Zakopanego, mając za te same pieniądze wjazd w słowackie Niskie Tatry, gdzie wyciągów jest „skolko ugodno”, nie mówiąc już o coraz popularniejszych austriackich Alpach, w których bez czekania w przywyciągowych kolejkach przysłowiowo można „zajechać się na śmierć”.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nasze Tatry są małe - najmniejszy alpejski masyw górski na świecie i każdy krok wymaga rozważań. Na szczęście dyr. Byrcyn wybronił siebie i Tatry przed nowymi inwestycjami. Chwała mu za to. Wszystko wskazuje na to, że w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim znajdzie sprzymierzeńca, bo jak się okazuje PTTK, ów „naczelny” organ turystyki (w tym tatrzańskiej) chyba zajął się wyłącznie dochodową działalnością komercyjną związaną z ruchem turystycznym, dbając o swe finanse, nie znajdując czasu na działalność w sferze ochrony przyrody.

Nie można nie wpuszczać tych wszystkich, którzy chcą zobaczyć góry i przeżyć tam swoje być może, największe wzruszenie. Ale można im tego nie ułatwiać. Niech Tatry pozostaną takimi jakimi kiedyś były. Można przymknąć oko na klamrowe i łańcuchowe ułatwienia na Orlej Perci. Tatry trzeba udostępniać, a nie robić z nich biznes. To jest jednak wielka i zasadnicza różnica.

Redaktor

Z kartą, czy bez?

Pomimo wątpliwego sukcesu mojego apelu, chciałbym go jednak wystosować do władz PZA, mając nadzieję, że jeśli nie dziś, to w najbliższym czasie znajdą się wśród nich osoby, które rozwiążą w końcu problem „Karty Tatarnika”.

Papierek ten bowiem - pochodzący z epoki wielkiego socjalizmu - zatruwa życie całej rzeszy wspinaczy w Polsce. Aż dziwne, że w dobie wielkich reform i dążeń do Unii Europejskiej, w naszym kraju nadal stosuje się ten archaiczny dokument. Na szczęście nie jestem „członkiem” PZA, więc mogę pisać o tym otwarcie. Nie grozi mi bowiem żadna banicja albo „zawieszenie” ze strony Związku. Chodzą bowiem słuchy, iż alpinisci o wyrobionych nazwiskach i stanowiskach „z pewną taką nie-śmiałością” poruszają ten temat oficjalnie. Jadąc w Tatry człowiek zastanawia się, czy skończył już 18 lat i wyrwał spod opieki mamy, czy cień PZA próbuje bowiem od lat zastępować nam matkę, biorąc nasze życie pod swe opiekuńcze skrzydła i dając w zamian wątpliwą gwarancję bezpieczeństwa w postaci nieszczęsnej „Karty”. Krnąbrnym natomiast rzuca się w twarz hasła, które mają delikwenta przekonać, że jednak „rada starszych” ma rację. Argumentują, że jakoby żyjemy w społeczeństwie, które rzekomo wymaga od nas, alpinistów, odpowiedzialności za swojego partnera. Że, kiedy chodzi o życie „drugiego na linie”, to nie ma „róbta co chceta”. Podobno tylko odpowiednie szkolenie zapewnia bezpieczeństwo i karygodne jest branie w swoje nieodpowiedzialne (nieprzeszkolone) ręce istnienia drugiego człowieka. „Odpowiedzialność, społeczeństwo, kolektyw” - wielkie hasła z poprzedniej epoki. To ja się pytam:

- Co obchodzi społeczeństwo w centrum Warszawy czy Szczecina, kto się właśnie wspina na jakiejś Kazalnicy czy Jaworowych?

Gwarantuję wam, że sklepikarki i biznesmeni w wielkich aglomeracjach mają głęboko w poważaniu to, czy jakaś para alpinistów akurat naraża swoje życie, czy nie.

A bezpieczeństwo? Nie jest tajemnicą, że w Tatrach oprócz tych „z Kartą” wspinają się także „partyzanci”. I jakoś nie stwierdzono różnic w ilości wypadków między tymi, co są „Nasi” czyli „z Kartą”, i tymi bez, czyli „nie Nasi”.

W sezonie zimowym notorycznie zwozi się z gór połamanych narciarzy. Może by wprowadzić obowiązek nauki jazdy na nartach? Nie masz „karty Narciarza”, to won z Kasprowego! Chorą sytuację poprawiono już w innych dziedzinach życia. Wycofano już „karty pływackie”. Pływać może kto chce i gdzie chce. Dziwne, że od tego czasu nie słychać wołań o pomoc tych, co chcieli płynąć wpław do Szwecji, a brzegi nadmorskich kurortów nie są usłane dziesiątkami topielców. Nad wodą panuje pełna swoboda, a pomimo to ratownicy WOPR-u nie narzekają na przyrost pracy. Nie ma już także „kart rowerowych”. Czyżby Policja przystając na takie rozwiązanie postępowała lekko-myślnie? Wszak w rękach niedouczzonego rowerzysty spoczywa życie pozostałych uczestników ruchu drogowego. W szczególności tych z 20-tonowych ciężarówek.

Kolejnym argumentem za utrzymaniem „Karty Taternika” mają być ogromne koszty akcji ratowniczych i narażanie życia ratowników TOPR-u w czasie ratowania delikwentów. Oczywiście tych bez „Karty”, gdyż ci „z Kartą” nie ulegają wypadkom. Moja odpowiedź jest jednoznaczna. Ratownicy są po to, żeby w razie potrzeby byli gotowi się narażać. Są ochotnikami i muszą się liczyć z zagrożeniem własnego zdrowia i życia. Nikt tam nie jest trzymany na siłę. Taki jest los wszystkich służb ratowniczych z policjantami i strażakami na czele.

W krajach alpejskich, gdzie alpinizm jest sportem prawie narodowym, ratownicy górscy i jednostki żandarmerii zajmują się głównie kontrolą - najczęściej ze śmigłowca - stanu bezpieczeństwa wspinających się zespołów. Jeżeli żaden z nich nie potrzebuje pomocy, leczą w swoją stronę. Na Matterhorn może wejść nawet babcia o lasce i blondyna na szpileczkach i w mini spódniczce. A ewentualne koszty? Na Zachodzie wszelkie koszty akcji poszukiwawczej, transportu śmigłowcem i leczenia pokrywa poszkodowany lub jego rodzina. Dlatego tam każdy wychodzący w góry ubezpiecza się. Ci, którzy tego nie robią, często spłacają koszty przez wiele miesięcy. W ten sposób służby ratownicze nie ponoszą żadnych strat finansowych.

W Europie (tej prawdziwej) dawno już stwierdzono, że człowiek może zrobić ze swoim życiem co mu się podoba. Skoczyć na linie? Proszę bardzo. Nurkować z rekinami? A jakże. Tylko najpierw podpisz, że robisz to na własną odpowiedzialność. Nikt się nad nikim nie rozczula, że nie ma przeszkolenia. Owszem, kluby i szkoły wspinania

służą usługami instruktorów i przewodników, lecz jest to zupełnie dobrowolne. W Polsce na obecnej sytuacji korzysta jedynie TPN (bo ma ściśle pod kontrolą ilość wspinających się na jego terenie) oraz instruktorzy i - przede wszystkim - przewodnicy górscy, którym trzeba sypać do kieszeni niemałe pieniądze za wejście na szczyt, jakby to był Everest. Chyba jedynie wyżej wymienionym może zależeć na utrzymaniu obowiązku posiadania „Karty”.

Poza tym - którego z młodych wspinaczy stać na koszt 1500 zł za „kurs tatrzański” plus koszty dojazdu i wyżywienia? Wszak nigdy alpinści nie uchodzili za zbyt zamożnych. Być może taniej się po prostu nie da, gdyż ceny dyktuje rynek. I ja to rozumiem, lecz odbija się to na ilości chętnych na kursy tatrzańskie.

Nie dziwny się więc, że brak nowych twarzy w polskim alpinizmie wysokogórskim. Jest bowiem z czego wybierać. Wśród setek młodych ludzi wspinających się w Rzędkowicach czy Podzamczu zapewne znaleźliby się tacy, których pociąga „wielki” alpinizm. Skałki i kursy skałkowe są oblegane przez wspinaczy, a w Tatrach od wielu lat widać duży niedobór „Nowych”. I nie z powodu mody panującej na wspinanie wyłącznie skałkowe. Wspinacze nie mający „Karty taternika” stornią od Tatr - znam to z własnego środowiska. Nie mają tam gdzie legalnie zabiwakować i nie chce im się bawić w chowanego ze strażnikami parku. Niewielu stać na wydanie jednej średniej krajowej na kurs. Mój znajomy za tę kwotę kupił „skorupy”, raki i atestowaną linę, a żeby się w spokoju powspinać jeździ w Alpy Bawarskie. Nie wróży to dobrze naszemu alpinizmowi. Nie mogą tego zrozumieć niektórzy z „rady starszych” w PZA, którzy robili kursy tatrzańskie w latach 70. za marne pieniądze i na koszt dotowanego przez państwo klubu. Może czas na wielkie przemeblowanie w PZA i oddanie władzy ludziom o bardziej otwartych na zmiany umysłach.

„Czasy się zmieniają, a wielu jest ciągle w komisjach” - można rzec parafrazując tekst Lindy z „Psów”. Były przymiarki do zrobienia w Zakopanem olimpiady. Na szczęście nie udało się. Zastanawiałem się, co bym powiedział przybyłemu z Zachodu alpinście, który przy okazji igrzysk chciałby się powspinać w Tatrach? U nich nie trzeba być nawet zrzeszonym w żadnym Alpenverein. Natomiast w Polsce nawet zrobienie nowej drogi na Trango Tower, czy nazwisko Profit, Piola czy Lafaille nic nie znaczy. W „taaakich” górach jak Tatry bez „Karty” po

prostu nie wolno. Gość z dalekiej Europy popuka się czoło, uśmiechnie ironicznie i wróci do siebie. Przynajmniej tam będzie mógł się zabić bez pytania o zgodę swojego związku. A potem przyjdą żandarmi, posprzątają, wywożą, „a ostatni zgasi światło”. I będą czekać na następnych. Bo w górach już tak jest. „Opadnie stu, lecz następni pójdą dalej”. Przecież „Każdy ma prawo zabić się w górach”. Z Kartą, czy bez.

Robert Langowski

Listy do redakcji - Z Kartą, czy bez...

Korzystając z dobrodziejstwa internetowego archiwum GiA, zajrzałem do numeru 7/99, którego nie czytałem w wersji „papierowej”. Szczególniej zainteresował mnie tekst Roberta Langowskiego „Z kartą czy bez, czyli...”, dlatego pozwolę sobie na kilka zdań komentarza. Zarysowany przez Autora problem, czy Karta ma być koniecznym warunkiem dopuszczenia do dróg wspinaczkowych na terenie Tatr (tak w Polsce, jak i na Słowacji) istnieje. Osobiście przychyliam się do poglądów R. Langowskiego. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na to, że obecnie w Tatrach rzeczona Karta jest tak naprawdę warunkiem koniecznym do przejścia jakichkolwiek dróg poza szlakami znakowanymi. Każdy, kto choćby pobieżnie rozejrzył się po Tatrach wie, że dopiero poza ścieżkami znakowanymi (zwłaszcza na Słowacji) znajduje się gros najciekawszych szczytów i dróg. Taki stan rzeczy powoduje istnienie w Polsce dwóch jedynie kategorii „taterników” w dawnym pojęciu tego słowa: turystów przemierzających jedynie szlaki turystyczne, dla których Orla Perc stanowi największe wyzwanie oraz wspinaczy, pokonujących trudne i najtrudniejsze drogi skalne.

Pomiędzy tymi kategoriami jest pustka, jeśli pominąć tych, którzy nie boją się ryzyka konfliktu z przepisami, a nie mogą lub częściej nie chcą, oddać się pod skrzydła zawodowego przewodnika. Nie istnieje w Tatrach oficjalnie „turysta wysokogórski”, który nie porywa się na drogi skrajnie czy nawet bardzo trudne, ale ma dość doświadczenia, umiejętności i wiedzy, by samodzielnie wejść niebanalną drogą na Lodowy, Pośrednią Grań czy Mięgusza, a do tego wie, do czego służy lina i czekan.

Myślę, że „turyści wysokogórscy” w wyżej opisanym pojęciu nie są obecnie w Tatrach wyjątkami. Być może znaleźli sobie „niszę

prawną” pozwalającą na bezkonfliktowe (z przepisami) istnienie. Jeśli tak, chętnie zajrzałbym do tej „niszy”. Inne góry (choćby Alpy) są ich pełne. Póki co, wygląda na to, że TPN i TANAP przy pomocy Karty Taternika chronią Tatry przed... A no właśnie, przed kim? Czy naprawdę tak rozumiany „turysta wysokogórski” jest tym, przed którym góry chronić należy? Czy nie istnieją tu inne, sprawdzone gdzie indziej, możliwości? Może warto publicznie o tym porozmawiać. Piśzę o tym w nadziei, że GiA to pismo również tych bez Karty, chodzących poniżej „skrajnie trudno”.

Robert Grudzień



Kocioł Morskiego Oka widziany z Wołoszyna

Górami pisane

Kazimierz Przerwa Tetmajer:

- Jak baba diabła wyonacyła

Ześli się raz kumotrowie w jeden zimowy wieczór do Jędrzeja Bystrzańskiego, do którego się nazywało do Mrózków, bo jego babka była od Mrózków z Ludźmierza. A jego samego także nazywano Hartazel, bo rad furmanił. Zeszły się chłopcy starawe; sytka wraz parobcyli i radzi się widzieli. Był tam Cios Michał, Stasel Wojtek, Kiecek zwany Piecek, Pokuscarz i paru innych. Z ośmi chłopca. To byli bursianie dawni i siła wraz nadokazowali we świecie. Pili gorzałkę i piwo, które Bystrzański we własnym browarze warzył i ukwalowali rozmaicie, o tym i o owym. Wtem drzwi się uchylły i w progu ukazał się stary Jasiek Cios, zwany Turniowiec, jak ten ptak, co się w halach turni dzierży, albo Jasicek, bo go tak ośmdziesiąt lat temu matka nazywała, dawny zbójnik, wikręt i obyrtac, strzelec sławny i muzyka, ale se ino na gęsiolkach grawał, które w zawiązanym rękawie czuchy nosił.

– Niek będzie pokfalony Jezus Hrystus - (rzekł wsuwając do izby białą głowę i postać trochę schyłona od wieku).

– Niegze bedzie. Na wieki wieków. Jamen. Witajcie krzesny ojce!

Podali sobie ręce.

– Bóg zapłać.

– Siednijciez, krzesny ojce!

– Zeć ta pomału.

– Je cos tys ta na was słyhno, krzesny ojce? Zdrowiście?

– Je ni tys ta takiego. Jesce ta jesce. A wy ta jak lepij?

– Jeć się ta trzimiemy po końdku, dzieńka Bogu.

– Dzieciska tys ta jako?

– E ta i ony nic nijako.

– Fałaz Bogu. Zima!

– Hej wiera! Zima!

Podsunał Bystrzański pucharek Jasickowi, pozdrówkali się.

– E, zima! Rencyska mi haw cysto pięknie zglewiały. Sełek se drógom, krześnicku, patrzem, na sybak sie jarzy, wstąpiem, mėslem se, je dy ta wtosi jest, kie świećom!

– E dobrzeście tys. krzesny ojce, namysłili. Wse was rad witam!

– Ale co ta baba powie krzesny ojce? Nieskoro w doma bedziecie!

– Je ta teraz dziewczki na sopie nie śpiom, bo zimo.

– Ha, ha, ha!

– Kiela cas jeściee haw na nas nie zajźreli.

– E ta ono wiécie, krześnicku tak: rzekomo nika nic, a ono wse cosi kajsi.

– Je hłop i hłop. Rób i rób.

– Bajto! Lezał nie bedzies, jaz na ostaniěj pościeli.

– Hej wiera! Dobrze padocie, kumotrze: na ostatniěj.

– Aleście tys to Jędrzeju, pięknego bucka na ogień ścieni!

– O běl piękny! Z naskiego haw, lasa za wantulami.

Ale telo twardy běl kie my go ścinali, co się widziało, ze go diabli broniom!

– Jeć ta cłek nie wié: co ka? Cळेkeś i cłek. U Staska Waliněj w Podcérwonym bęła tako staro, dudławo wierba, to w niěj diasek cosi ze trzidzieści rók siadal. Coby się

buków dzier-zał, nie słychowałek, jednako to i moze być - rzekł Jasiek.

– A moze ta jakie piniondze pod nim béły? - ozwał się Michał Cios. - nie sukaliście?

– E, nie béło hań nic. Jacy skole, bo to we wiérchu. Ale tak wam gadom, przy samėj ziemi widziało sie, ze sie go cieślica nie chyci. Bielskiego Szymek by wam pedział, bo on hań se mnom béł.

– Je ta pojedno drzewo takie kwarde urośnie. Ale wto wié? Trza béło sukać.

– E, hań nic znać nie béło.

– Ba wto wié, na cym takie drzewo rośnie?

– He, abo diasek zacarował tak jino na despet - ozwał się Jasicek. – On ta rad próguje, wto mocniejszy: hłop, cy ón?

– He, he, he - rośmiał się Pokuscarz z zadowoleniem i wszyscy spojrzeli po sobie i mrugnęli do siebie.

– Ze jakos on to próguje, krzesny ojce?

– Jedź ta rozmaicie. Tak i tak. Ale hłop, jak nie bzdu-ra, to je wse wytrzymalsy.

– Witrzymalsy je?

– Je kie wiécie co, krzesny ojce, to opowicz, opowicie!

– Jedziek ta kiejsi slišał o tém jedne historyjom od Pietrzakowskiego Kuby z Ostrysa, be temu z pięćdziesiąt rók, kie my wraz na Luptowie béli, a jemu to zaś opowiadał stary Józusiów Józuś, co mu jus wte moze sto lot rahowali, a jesce bacował pod Osobitom.

– Opowicz, krzesny ojce, opowicz!

– Hano béło tak. Straśnie hłopa zycie dokucyło, umyślił sie objesić. Wzion powrózek, idzie hore dolinom, bo

ta kajsi nie prec gór bywał i co nie robi, zastompil mu diasek. Stretneli sie na pérci. Hłop sie go ta juz nie przelonk, bo co sie bedzie taki bał, co sie objesić idzie, déj ta wié, ze poń janiółowie z kobiałkom nie przilecom, ba diasi z widłami, pado mu: Dobre polednie - bo to prawie polednie béło. Nie bars skoro wej wyseł.

– A dobre polednie - odpowiadło mu diaboł. – Kaz idzies?

– Objesić sie.

– Ze bez cos tak?

– He - pado mu hłop - kiebyś ty mojom skóre oblók, tobyś sie ty, rzeke, nie jacy raz, ale trzi razy objesił.

– Je skrós cegoz tak? - pyta sie diasek.

– E, jino spróguj - pado mu hłop.

– Hu, hu, hu - ośmiał sie diasek, – Jo by twojemu zyciu nie poradzié!?

– E dy jino sprógu! Bees widział. Nie wytrzymies, ho-ćjek zły duk.

– Stawmy sie! - pado diabeł.

– Jo nie od tego. O co stawka?

– Je - pado diaboł – od tobie nic. Tak i tak byś béł mój. A jak nie wytrzymiem, to ci ukozem skarb w téj tu dolinie i nie bees sie potrzebował wiésac, bo wiémy, ze cie ta co ine cubrzy, jacy biéda.

Taki wej zakład diaboł robiéł, telo pewny béł.

– Dobrze - gwarzi hłop. – Renka?

– Renka!

– No to co mam konać? - pyta sie diasek, gotowy.

– E tak: Pudzies do mojego domu, ku mojej babie, za mnie.

– Za tobie? E to mnie pozno, cok nie ty, ba grzych.

– Nic to. Uzdaj sie na mnie, dyjeś przecie diaboł, a odzienie ci ze sobie dam. Ona ta ciepło - prawie wiesna béła - ciupahe i krzesiwo mam, watre se beem kład - to ta w gaciak i kosuli wylezem. Wte moji ludkowie hłopy nie takie béły, jak dziś. Mróz bół, jaze wody lodami sły, to se taki rano w gaciak i w kosuli wyseł wyziérać, cy ta nie pocieple we świecie? A stał se i dziesięć paciérzy poprzed hałupom albo i więcyl. Nie umar-z. Drzewiěj moji ślicni piékni, hłopy bywały zdrowe. Portki go ta haw nie grzały, ba krew. Prawda, barana taki zjadł, ale tys tak jak baran taki ciepły bół.

Diaboł mu sie uszprizpatrzował, tu i tu, ze syćkik stron, wpatrzował sie w hłopa długo nie krótko i pado: moze to i być.

Pote zaś poseł ku takiemu małemu baniorku, w rzecy kałuzy, co hań miendzy skole béła, a jemu to za przezieradko stało i dropie ta cosi kajsi łapami po nurze, tak i tak, jeździ mehu uskubie, przילוzy, to zaś piargu, a coraz to sie przeżre i zwyrtnon sie ku hłopu.

– Dobrze?

– Dobrze - śmieje sie hłop. – Jo som teraz nie wiem wtoryk jo, a wtoryś ty?

Sjon hłop cuche, kamizelke, jakie to ta wte nosowali, zobuł sie z portek, wyobuł z kierpcy, na ostatek mu i kapelus dał, ostał jino w gaciak i w kosuli, a to - pado diabłu - ukradnij se ka z płota, ka sie susy.

Diaboł kapelus na łeb, poprawiél i pyto sie:

– Nie pozno mie?

– Ka ta?! Je dyś ty przecie diaboł pd tego, cobyś ludzi mamil.

Trzepnon diaboł ogone rad, że mu się štuka udała i pado:

– No to siejdze haw, zakiel sie nie wróce, a o jedzenie i picie sie nie turbuj, bo to tu bedzie. Ale pockaj! Na kiele casy zakład?

– A hłop sie śmieje. – Je radzi doń - nie trza haw woła, ani całej świni. Na trzi dni.

Zglupiał diaboł. – Na trzi dni? - pado. – Je to tak, jak nic. Przegros!

– E - pado hłop. – Beemy widzieć, Jino idź.

Dobrze. Wzion diaboł skałe, ta na seś funtów, duhnon, ogień mu z pyska wyjahał: Tu mas hléb. Upiók. Wzion pote ziemie garzc, duhnon zaś znowa: zrobiła się štuka, howiedze mięso. Zaś potem puściél wode suhym potoke, bo ta ji nie béło blisko.

No i co sie nie robi, mój dziaboł odzienie hłopowe pod pazuche wzion, kapelus w zemby, coby mu wiater nie porwał i kajsi ku wsiom po gacie i kosule poleciał. A hłop przy wtrze ostał.

Leci, suko, pilno najść ni móg, ku wiecorowi go zbawiło, kim to, co mu trza béło, z płota kanysi ukrad. A to bez to, jakosi béło po świentak i baby przódzi poprały i powysusowały.

Odział sie w lesie, w Dónajcu jesce kasi przejźrał, idzie ku hłopowej zagrodzie. A hań jus gaździna cekała, a hłop se gaździnom miał setnom. Babie béło wysy štyrdziestu, renka ja rajtok, a pysk jak u psa, telo scekławy. Dzieci nie miała.

– Kaś bół? - pyta sie go. Nie poznała nic.

– W lesie.

– Coś hań robiél?

– Hodziłek se i gwizdał - pado diaboł, bo cos mu sie ta babsko widziało? Baba i baba.

Jesce nie dokóncel, kie w pysk dostał, jaze mu zeźwiencało w usak.

– Edź - meślise – to haw tak witajom? Ale to nic.

– A nie wiés to, bezero - krzicy baba - co teraz wiesna, roboty moc?! To ty se bees po lesie gwizdał?! Cie go! Jaki drózd! Ale dobrze coś haw. Zbiéroj sie, wesele u Walka Łojasa, pytace haw béli. A cobyś tańcéł! Bo padajom na tobie sytk: dziad! nieruchajda!

– Je tok trefiél - myśli diaboł - na hipcacke. Je to se ta potaćcem kolwicek.

Posel ubrał sie pięknie, odzienie nowe, hłopowe za zyrdki sjon, wyzdajał sie, wybryzował, jak to na wesele. Jaze sie sam do siebie ośmiał.

Baba samo to, po świętálnemu, pod stązkami, bo to kajsi pono w Zarze béło, buty zółte, a korole na syji.

– Je to tu na nik biédy nie mas - meśli diaboł. Uzaprzongał konia, siedli, pojechali. Diaboł wióz, bo tak koń seł, jaze bahra w kołak zwońiły.

Całom noc musiał diaboł tańcyć. Bo ta nie jino tańcéli, ale sie i bawili, to w dziada, to w kota i myske, to zaś i w ryktara, seliniejako, to znowu stajera, polonesa śli i niedźwiedzia trza béło za jinémi pokazować, a co sie diaboł fciał siednąć, to baba ku niemu: Basommazania! Stydu mi nie róć! Jus cie i tak ludzie za psie uho nie majom! Dziadu! Delengusie! Tańc!

Kolwicek sie ta jój jus i bał, to seł. Cysto pięknie sie zamordował. Bo i ta i naucny nie bél tak. Haj.

Całą noc tak sło, do bieleho rania. – No meśli se diasek - to nic. Zajedziemé do domu, to sie wyśpiem. To jino roz tak.

Ehe! Zajehali do domu, zodziawa się ze świentálnego baba, zodziął sie diaboł i na pościel sie pha, a baba nań: Is! Is! Kazbyś sie phał psie miéseo jedne! A nie wiés to, ze orba w polu! Bier sie! Bo ci haw zapłuźnika nik nie upytał!

Przypatrzył sie diasek do baby, ale cos bees robiél?

Lewdy ta kielo telo pośniadać dała, juz mój diaboł przy pługu. Oro. Jino ta tyz moc nie zorał, bo nie zwyczajny bél za pługe hodzić.

Leci baba z połedninom.

– Kieloś zorał?

– Je to i to.

Jak nie baba weźmie teremtetować! – Hej ty wietrzny młynie, weredo! Psia kość zatracona! Toś ty jino telo obrać zatela zdolal?!

– Jedynieć ani nie siad - pada diasek.

– Ba coś robiél?! Jeść to ty piérsy! Na to tois hłop! A ku pługowi toś dziecko?! Zarbyś teroz co!? Jaskólce gniazdo jedno!

I prask garkem o ziem. Wylało się co prziniesła.

Ehe! - meśli zaś diaboł. – To tu tak za robote płacom? Ale to nic. Legnem se na łące, jscawiu pozujem, to mi sie nie bedzie jeść fciało.

Wiera ze tys uzył! Do zahodu słonka na roli orać musiał, bo babsko ukazało, pokiela zorać ma, nie béło rady nijakiéj.

Idzie wiecór do domu - drwa rąb!

Uzgibał sie przy pługu, tu jesce nie telo trza béło. Kościska mu trzescały w grzibiecie, ale rąbał, bo sie juz baby na mój dusiu na ozaist bał.

Zawołała go na wiecerzom, pojad ta kąsecek, u baby kuhnia nie przestrono, telo jino, cobyś nie zdeh, méšli se: Teroz sie wyśpiem. Baba paciorze zmówiła, diasek ta w kąncie cosi po zydowsku uświajndrał. w rzeczy że sie modli, legli. On za hłopa przy babie. Wyciongnon sie, dorobiony bół telo co cud, ocy mruzy, mało co wysło: Maciek!

Bo ta temu hłopu béło Maciek.

– Co?

– Śpis?

– E coz byk robiéł?

Po fili zaś znowa:

– Maciek!

– Co?

– E coz ta śpis telo?

– Je dy od tego noc.

Zaś znowa po filece:

– Maciuś!

– Co?

– Jakoz bedzie?

– E s cym?

– E s tym.

– Z jakim tym?

– E s tym, po coś sie zéniéł.

– Ehe! - méšli diaboł. – O to ci idzie! Je - pado - e to mi nie trza béło kazować całom noc jedne tańcyć, zaś pote cały dzień orać, a jesce i drwa rąbać, a pojeść toś mi dała jak musycy.

A baba noń: E ty węgierska śmierć zatracona, to ty haw jesce ze zembami do mnie! Ty niemrawo! Tyrlaku prześlony! Niedomozku! Ty Maciejisko!

Obróciła się ku niemu, za łaskom mówięcy, rzyciom.

– No dobrze - méšli diaboł. – Niegze sie ta gniéwa. To nie na długo tyj służby.

Nie wysło dwa paciérza, baba: Maciuś!

– Tuk dopiéro bół Maciejisko, tujek Maciuś - méšli diasek. – Co tys ta zaś?

– Maciuś - gwarzi baba - pojdze... Dam ci jutro moskolicek z masłem...

I rencami po nim jedzie, nie przebiéro nic...

Widzi diaboł, ze spać nie do, méšli se: Ułaze, babo, dogodzem ci roz, cobyś dała pokój.

Wzion i zrobiéł, co trza, lóg, kce spać.

Kwilecke ta uspał, zaś znowy sħisy: Maciuś!

– Je krotni milońscy! Je co?

A baba doń: Maciuś! Rad byś jeść moskolicek z masłem?

– Je dy go ta jus i tak beem jad!

– Ale jesce nie telo! I ze spyrkom!

Diabłu sie spyrki nie fciało, ale cos bees robiéł? Wzion, wyzwyrtał babe drugi roz, no - méšli se - teroz to jus be cicho do rania.

Wtulił pysk w zagłówek, śpi.

A tu nad usyskami: Maciuś!

O! Pokielze tego bedzie?! Wiera tyn hłop dobrze radziéł, ze go dokucyło! Nie obzywo sie nic.

– Maciuś!

On nic.

– Maciek!

Nic.

– Słyszysz?!

Nic.

Ale sie diabeł nie naspodział, co sie nie zrobi. Kie sie baba nie dźwignie na pościeli, kie nie kopnie wysy łydka! Do razu diabeł z pościeli na dyle zjahał.

– A ty dziadygo, ty judasie! - krzyczy baba. – Hań siedź kieś pościeli niegodny!

Siad diasek na dylak, bo hań podłogo forztowanyj nie mieli, po boku sie maco, bo sie godnie stłuk spadujący i mészli se: Haw źle i hań niedobrze... A tu baba w płac! Jojcy! – Oj jo hudobno, niescyńśliwo, o po coz mie tys ojcowie za cie wydali! A dobrze padała niebozycka stry-na: Nie dejcie Kundy za Maćka! bo to dziad! O raty, raty! O mamó moja!

A tu baba by jus na uwzientego i babkom mogła być, jino ze dzieci nie mieli.

Jak jojcy, tak jojcy, diasek na forztak siedzi, zimno mu, twardo, ozmyśluje, jaze go to nagniewało syćko.

– Je cie diabli wzieni! - pado babie. – Tu jedne noc tańc, pote cały dzień rób, jédz, telo, co nic, a na drugom noc figluj, a pote znowu ku pługu?! Je dyby jo sie haw cysto pięknie zdar!

Wzion, sjon kosule, zrucieł gacie napośród izby, hip ku oknu, fuk sparom w pole! Leci ku hłopu, w dolinie.

Hłopisko se przy watrze lezy, fajke pokurzuje.

Zacudował sie, kie ujźrał.

– Tuś?

– Hawek - pado diabeł. – Podź pod wante!

– Ze jako! Nie wytrzymies tyk trzok dni? - śmieje sie hłop.

– Cyś tak do wyhipka leciał, co ani przegwarzić nie mozes? - pyto sie hłop.

– E bracie - pado mu diasek. – Dobrześ ty padał, co kieby jo na twojim miejscu bėł, tobyk sie nie to roz, ale trzi razy objesił. Ani dwie słowie! Stawka twoja! Pódź!

Dźwignon sie hłop, nie ušli na trzi strzelania w rumowisku, ale sie juz hłopu całke odmieniło, hoć doline dobrze znał, jakieby hań nigda nie bėł. Przidom ku wancie jednyj, dość godnej, nadniós jom diasek, a pod niom złota, śrybła, seliniejakiego dobra, co cud Pana Boga!

Nabrał hłop, kielo zdołał, worek se ta jakisi stary kejsi w sałasie naloz, diasek mu go igłom z cetyny i niciom ze smoły ponaprawiał, pozwięzował do niego co jino móg. I śmieje sie i powiada diabłowi: No, tok juz od teraznia hłop.. Na dzień to se bedem robotnika najmował, a noc to ta jesse śpiérpiem. Aleś ty mojego zycia sprógował, aj sprógował!

I poseł se z workiem na plecak śmiało ku izbie, a diabeł mu jino krziknon na dróge: Idze ze Syrokim! Je dyby to na trzok diabłów roboty bėło prawie...

